

Wędrówka piesza po Górach Orlickich

Oglądałem kiedyś taki serial telewizyjny, w czasach mojej młodości, który miał tytuł *Siedemnaście mgnień wiosny*. O ile pamiętam, była to taka radziecka wersja polskiej *Stawki większej niż życie* z głównym bohaterem – sowieckim szpiegiem w mundurze Wehrmachtu – kapitanem (?) Stierlitzem, będącym odpowiednikiem naszego Hansa Klossa. Po latach pozostał mi w pamięci jednak już tylko tytuł tego filmu. A ten tytuł, te *siedemnaście mgnień wiosny*, zawsze wraca do mnie gdy na przełomie kwietnia i maja przyroda, drzewa, mają te swoje *siedemnaście* odcieni zieleni.

Nasz spacer nie był taki. Dopiero początek kwietnia i tu, w Górach Orlickich, których najwyższe wzniesienia jeszcze przybierają śniegiem, wiosna jeszcze nie dotarła. Drzewa jeszcze bez listków, nawet bez ich pączków. Pozostając przy jakichś wojennych skojarzeniach: dopiero zjawily się forpocztę wiosny. Stęsknieni za pierwszymi wyrastającymi z ziemi kwiatkami, wszyscy robiliśmy po drodze fotki tym białym i błękitnym kwiatuśkom, które pierwsze się zjawiają, często jeszcze, gdy leży śnieg. Przebiśniegi, śnieżycy wiosenna – to te białe. I te niebieskawe: przylaszczka pospolita, a może fiołek Reichenbacha? – nasz przewodnik i znawca przyrody, Jasiu, tym razem nie był pewny. Wszystko jedno. Któraś z Pań i tak wolała nazwać je po prostu *niezapominajka*. Taka kobieca (czy też po prostu ludzka?) tęsknota, za tym co jednak podlega zapomnieniu.



Aby więc nie zapomnieć tej pięknej wycieczki (*JAGASIE*: jeszcze raz Wam duże dzięki za jej zorganizowanie!) piszę „na gorąco”. Spisuję tę, jak to mawia ww. już Jasiu, lubujący się w mało znanych słówkach, przygarść wrażeń, z pierwszej wiosennej wycieczki nieformalnej grupy odkrywanie.bystrzyca.pl. Przynajmniej zaczynam, bo skończę pewnie za czas jakiś, kiedy ta wycieczka już będzie przez jej uczestników zapomniana – o jeszcze jeden spacer po górach, który się kiedyś odbył... Piękny spacer!

Te kwiatki może nie były tak spektakularnie cudowne, jak w tym samym wczesnowiosennym czasie dywany krokusów w Dolinie Kościeliskiej, ale za to mieliśmy je tylko dla siebie. W ciszy, w pustce Gór Orlickich, w których o tej przejściowej porze roku gdy wraz ze śniegiem zniknęli stąd biegacze narciarscy, a nie zjawili się jeszcze wakacyjni wędrowcy, to można iść godzinami, nie napotykając nikogo. I my nie spotkaliśmy żadnych innych turystów (nie licząc rowerzystów na MTB, których mijali nas pod sam koniec wędrowki, ponad Čichalką). Choć ładnych parę godzin wędrowaliśmy. A znajomy Góral „spod samiuśkich Tater” przesyła mi w dzień po tej wycieczce w załączniku do mejla fotkę tłumu z podpisem *To nie pielgrzymka na Jasną Górę. To do Doliny Chochołowskiej na krokusy. Koszmar!*

Wyruszyliśmy w sobotę 7. kwietnia 2018 r. o godz. 10. z miejscowości Zimne Wody, gdzie też – zatoczywszy koło – mieliśmy, po południu już, powrócić. Najpierw schodzimy w dół do Lasku Miejskiego, który jest częścią Lewina. Po drodze parę domów. Pamiętam je jeszcze takie zabiedzone i miło było stwierdzić, że właściciele (pewnie nowi) poddali je renowacji. Nowe dachy, nowe tynki, pogodne kolory ścian zewnętrznych. W jednym przypadku wręcz niesamowita dbałość, aby przywrócić tym dawnym sudeckim domom ich pierwotny charakter: drewniane rynny!



O najważniejszym domu tej naszej wędrowki będzie za chwilę nieco obszerniej, bo tam zatrzymaliśmy się na dłużej. A teraz tylko przystanęliśmy przy kaplicy św. Jana Nepomucena nad potokiem. W przeciwieństwie do jeszcze niedawnego okresu, gdy często takie obiekty chyliły się ku upadkowi, tutejsze zabytki, poprzez ich odnowienie, zostały jakby wyeksponowane i ładnie *wpisane* w otoczenie. A także i opisane: można sobie przeczytać o ich historii na tablicy informacyjnej, i to w trzech językach (polski, czeski, niemiecki).

Trochę czytamy, ale lepiej jest posłuchać Jasia, który opowiada historię z XIV wieku o ostatniej czarownicy, która tu, w parafii Lewin, poddana egzorcyzmom za swoje czary, zmarła nagle. Mrożąca krew w żyłach legenda o przebijaniu jej serca osikowym kołkiem (bo czarownica nawet i po swojej śmierci straszyla bydło okolicznych pasterzy ukazując się pod postacią ogniem ziejącej krowy). Czemu nie przetrwały do naszych czasów jakieś pogodne historie o tym, że dzień oto był piękny? Że wspaniale się tego dnia czułem, że niczego mi w tej chwili nie brakowało? Chociaż są i takie historie. Oto jedna z nich, króciutka, cudownie spisana:

Czesław Miłosz “Dar”

Dzień taki szczęśliwy.

Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie.

Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium.

Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.

Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.

Co przydarzyło się złego, zapomniałem.

Nie wstydziłem się myśleć, że byłem kim jestem.

Nie czułem w ciele żadnego bólu.

Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle.

Berkeley, 1971

Ale wróćmy znad Zatoki Kalifornijskiej do Lewina – tu też jest pięknie. Ja na chwilę odłączyłem się od grupy aby wspiąć się na stromo wznoszącą się ponad kaplicą ścieżkę drogi krzyżowej (także pięknie odnowionej i – jak kaplica – opisanej w 3 językach).



Na samej górze szlak turystyczny (czarny), którym jednak nie da się iść, gdyż górę nawiedziła niedawno chyba trąba powietrzna: świerki położone pokotem, wyrwane ze swoich podstaw, tarasują leśną drogę skutecznie.



Przedzieram się do krawędzi zbocza i zaliczam w dół istne „chaszczowanie”, aby znowu znaleźć się na asfalcie szosy Lewin – Lasek Miejski – Kocioł – granica Rzeczpospolita Polska / Česká republika – Olešnice w Orlických horách.



Po drodze jeszcze skrzyżowanie z odbijającą w prawo drogą na Taszów i docieram do naszej grupy, która na posesji Chaty w Kotle słucha już opowiadania właściciela tego obiektu.

To chyba najciekawszy punkt dzisiejszej wycieczki (choć mamy jeszcze w programie Muzeum w Oleśnicy). Właściciel, artysta (kitka z włosami związanymi gumką), malarz, konserwator dzieł sztuki i wielki miłośnik staroci/antyków w jednej osobie, beznadziejnie (bo nie całkiem ze wzajemnością chyba – jak to wynika z jego opowieści) zakochany w tejże chacie, przyjechał tu kiedyś i zobaczył ten dom. Dawno temu. No, nie aż tak dawno – bo on sam ma dopiero z 45 lat. Spodobał mu się. A potem była okazja, to kupił. Za pieniądze, może i niewielkie (bo porównywał te ceny do wartości dwupokojowego mieszkania gdzieś w mieście – pewnie w mieście Łodzi – bo stamtąd, jak z dumą wyznał, pochodzi). Ale od tego czasu, już chyba od początku tego naszego kolejnego XXI stulecia, inwestuje w tę chałupę. I końca nie widać! Oszacował te swoje wydatki już na pół miliona zł (?). Dlatego napisałem, że ta miłość taka beznadziejna... Chata wciąż się domaga kolejnych aktów miłości: a to wieża dachowa do wymiany, a to ścianę drewnianą zżarł kornik i właściwie trzeba ją na nowo wstawić. A to nie LEGO!

Dom ten ma jedną "datę pewną": 1880 r. kiedy został gruntownie przebudowany. Ale właściciel jego początki datuje na jakieś 100 lat wcześniej. Tyle różnych dat, lat. Właściciel podaje jeszcze jedną liczbę: 11 lat – tyle wytrzymała, z tą jego pasją, z nim i z tą chatą, jego żona. I tak i ta historia osobista łączy się z historią chaty. W XX wieku z chatą niewiele się działo, a już po 1945 r., gdy odjechali ostatni niemieccy właściciele, nie działo się literalnie nic. Polska właścicielka i jej trzech synowie nie różnili się bowiem wiele od innych „repatriantów”, którzy nie tylko tu nie inwestowali, ale nawet nie naprawiali tego co już należało zreperować. Wciąż jakby czekali, czy nie przyjdzie stąd wracać. Tylko dokąd? Na utracone Kresy? Siła nostalgii. Lęk przed zadomowieniem się w miejscu, którego nie odczuwało się jako własne.





Repatrianci... Tym niezgodnym z istotą rzeczy słowem, pochodzącym od słowa „patria” czyli ojczyzna, nazywano Polaków, którzy przybyli po II wojnie światowej na tzw. wtedy Ziemie Odzyskane. Czyli według obowiązującej teorii, powtarzanej przez ówczesne władze PRL, niby wracali do siebie: do Ojczyzny! Tylko że od czasu Bolków Świdnickich i innych Piastów Śląskich (którzy chyba już też wcale po polsku nawet nie mówili i tylko dynastyczne koligacje wskazywały na ich polskie korzenie) nie była to już nasza polska ojczyzna. A te sudeckie ziemie to już w ogóle z Polską nie miały nic wspólnego. Bo na Mazurach, Kaszubach, mowa polska przetrwała gdzieś, czyli jakieś jeszcze związki z Polską utrzymywały się przez stulecia. Ale te tutejsze ziemie Polacy co najwyżej odwiedzali w podróży będąc. Jak np. król Jan Kazimierz zostawiając Polskę po swojej abdykacji, w drodze do Francji w 1669 r. przez Bad Reinerz, czyli Duszniki-Zdrój. Lub docierali tutaj do wód jadąc, jak Fryderyk Chopin, który przybył na kurację, też do Bad Reinerz w 1826 r.

Zawsze mnie fascynowało, że jednak wielu zwykłych ludzi uwierzyło po II wojnie światowej w trwającą przez dziesięciolecia socjalistyczną propagandę i w tę „polskość” tych ziem. Wierzymy w to, w co chcemy uwierzyć? Jakoś chcemy „legitymizować” przejęcie tych ziem – że niby były kiedyś polskie... Nie, nie były! A nie wystarczyłoby nam to, że możni tego świata pod koniec II wojny światowej tak postanowili? I że należy nam się słuszna rekompensata za tę wojnę i za te ziemie na Wschodzie, gdzie było nas, Polaków, sporo, a które musieliśmy już począwszy od 1940 r. opuścić?



W 2015 r. była kolejna okrągła rocznica przybycia Polaków na te ziemie Zachodnie i Północne (70 lat – liczonych od 1945 r.). Państwo Polskie nie zauważyło jednak tej rocznicy... Żadnych obchodów, zero uroczystości. Nic! Nie chciano drażnić Niemców? A była właśnie wtedy okazja, aby powiedzieć: tak! Jesteśmy tu, to nasze ziemie, sprawiedliwości dziejowej jakoś stało się zadość. Niech wszyscy na świecie pamiętają o tym! Byliśmy ofiarą II wojny i to nam się należy! Gdy się tego nie przypomina, gdy takich możliwości nie wykorzystuje, to czasem niedługo trzeba czekać: bo dziś (2018 r.) to my Polacy musimy udowadniać, że obozy koncentracyjne, to nie były „polskie obozy”. Żałosny „chichot historii”...

Barwna opowieść właściciela Chaty w Kotle nie ma końca, bo też gawędziarz z niego wyśmienity. Opowiada nam nie tylko o tej chacie (i jeszcze o drugiej, która stoi prawie tuż obok i też do niego należy), ale i o polskim rynku dzieł sztuki, o metodach konserwacji zabytków. Można się dowiedzieć jak konserwuje się lakier a jak politurę. Że czasem ksiądz i parafianie, zakładając wreszcie w zimnym kilkusetletnim kościele ogrzewanie, niechcący dewastują starodawny wystrój wnętrza świątyni, bo nagle drewno ołtarza zaczyna się rozsychać. Bo znika mikroklimat panujący tu przez wieki. Słucha się tego artysty z przyjemnością, gdyż ubarwia wszystko anegdotami, żartami. Nie wiedziałem, a pewnie i inni słuchający też, że w ostatnich latach zmienił się kierunek w jakim jadą antyki. Kiedyś wyjeżdżały z Polski – a dziś odwrotnie: są do Polski sprowadzane. Przez dziesięciolecia PRL-u, pomimo zakazów wywozu dzieł sztuki, starodruków itp. wędrowały one jednak na Zachód, czy to w bagażach „dewizowych” turystów, czy w naszych, bo decydowała przemożna wtedy siła dolara, czy starej dobrej zachodniemieckiej marki.

Dziś Polacy się wzbogacili i jest tu u nas, jak to określał nasz gospodarz z Chaty w Kotle, wręcz głód tych starych przedmiotów. Przez stulecia z Polski wywożonych, często rabowanych. I Polacy licznie – już teraz legalnie – sprowadzają je, właśnie z Zachodu. A i np. z Północy, bo gospodarz kilka razy mówił o całych transportach starych mebli ze Szwecji, które kupili jego znajomi.. Nasz rozmówca obraca się w branży mebli, obrazów, ale jak niedawno usłyszałem w programie motoryzacyjnym polskiej TV, w ostatnich latach jadą do Polski też stare samochody – liczne „oldtimer'y”, „retrówy”, czy jak kto je chce sobie nazwać. I nie chodzi tu o stare „Golfy” i 10-letnie (i więcej) AUDI, lecz o prawdziwe rarytasy w kolekcjonerskim stanie: auta sprzed II wojny na przykład, lub tzw. „Youngtimer'y” z lat 50-tych, 60-tych ub. wieku.

Granica czasowa wciąż się przesuwają – już i rzeczy z lat 70-tych ub. wieku często uzyskują status „kultowych” i pożądanym jako starocie.

Przeszliśmy się jeszcze po samym domu (bo opowiadanie gospodarza odbywało się na dworze, gdzie uczestnicy wycieczki „zalegli” na przygotowanych krzesłach ogrodowych wokół stolika, na którym pojawiły się napoje, a nawet nalewki własnej roboty gospodarza).

Pracownia. Mnóstwo staroci czekających na swoją kolejną odrestaurowania. Przytulna kuchnia, „taka jak kiedyś” z imponującym zielonym kaflowym piecem.



Serdeczny gospodarz znowu proponuje, że jak ktoś chce, to może sobie wybrać po butelce (pustej, no bez przesady...), które to flaszki stoją na dawnym kuchennym kredensie. Też zielone, albo brązowe, albo i z bezbarwnego szkła: dawne polskie jeszcze butelki z nazwami browarów, firm, które tu niegdyś funkcjonowały. „Mam ich dużo, weźcie, kupiłem ich ze 3000 sztuk!” - mówi Gospodarz. Raczej chyba nikt nie wziął, choć to bardzo ładne przedmioty; ale chyba wszyscy raczej pomyśleliśmy, że jeżeli się mają przechować, to tu jest dla nich najlepsze miejsce – u człowieka, który, nawet wbrew zdroworozsądkowym kalkulacjom, dba o to, by wszystkie te starocie nie przepadły.

Żegnamy się serdecznie i wędrujemy dalej. Do Czech. Do miejscowości Olešnice v Orlických horách. Ale do Chaty warto wrócić. Szczególnie malowniczo wygląda w pogodne letnie dni, gdy gospodarz wokół jej ścian wyklada swoje obrazy. Na sprzedaż, ale w ten sposób robi się też taka przydrożna galeria malarstwa!

A do Czech tu blisko, dosłownie parę kroków. Na nasz pohybel (tak, nie bójmy się mocnych słów), akurat przy granicy, jeszcze po polskiej stronie, leżą „wykiprowane” śmieci. „A to Polska właśnie”? Niestety.



Gdy zaczynamy wędrować po drugiej stronie granicy, jakoś trudno dojrzeć choćby tylko rzuconą do rowu butelkę, czy plastikowy worek, itp., czyli rzeczy będące powszednim widokiem wzdłuż naszych dróg, a nawet i naszych turystycznych szlaków.

W Czechach jest czysto!

Podchodzimy stromo w górę, asfalt zawija serpentynę. My skracamy sobie drogę ścieżką przez łączkę, wzdłuż strumienia. Po lewej widać, nieco dalej, Ski Areal Hartmann, z fajnym stokiem i wyciągiem narciarskim. Niedługo na szczycie tej góry ma powstać wieża widokowa, więc warto będzie wtedy pójść w tamtym kierunku (aby tam dojść z centrum Oleśnicy, z rynku, idzie się obok kościoła). Mijamy zadbane daczki, w których nie widać ruchu – wiele domów ma funkcje tylko łukendowe, letniskowe, co najwyżej. I już jesteśmy przy kościele, który góruje nad miejscowością.

Pamiętam, że gdy kilka lat temu zaszedłem na przylegający do kościoła cmentarz, ogrodzony kamiennym murem, to niemal wzruszyły mnie ustawione na tym murze metalowe konewki: stały sobie, ot tak, nie przymocowane niczym! I żadni „złomiarze” ich nie zabrali! Niepojęte dla przybysza z krainy dewastacji przestrzeni publicznej. Gdzie wszystko, co się da wykręcić, oderwać, zniknąć. A co się nie da wziąć, zostanie zniszczone na miejscu. Nie zapomnę wjazdu do Wałbrzycha. Nie tak dawno to było: wjeżdżam sobie do byłego wojewódzkiego miasta od góry (od „Andrzejówki” chyba) i na głównej ulicy, na prostej przede mną, widzę z daleka, co jakiś czas wystające zielone drzewka, wprost z asfaltu. Surrealizm, fatamorgana? Podjeżdżam bliżej i dopiero zrozumiałem: złomiarze „zajęli” kraty, kłapy itp. od kanalizacji deszczowej i żeby nie wpaść w dziury, zięjące po tych żeliwnych, już nieobecnych przedmiotach, ktoś (może zarządca drogi) zatknął te gałęzie, wyglądające na pierwszy rzut oka jak drzewka. Prowizorka, ale lepsze to niż... No właśnie, co? Ja akurat jechałem motocyklem. Jakby mi przednie koło wpadło w taką czeluść, to... Lepiej sobie nawet nie wyobrażać!

Dlatego odpoczywam, gdy jestem w Czechach. Wszystko jest poukładane. Może nudno? Możliwe. Ale spokojnie. Przewidywalnie. Czasem chcę do Czech!

Na pociechę (sobie i Wam, którzy to może czytacie): na cmentarzu, który najczęściej odwiedzam (w Dusznikach-Zdroju) też już pojawiły się konewki. Na razie plastikowe, czyli nie nadające się do odsprzedaży jako surowce wtórne. Ale są! I nikt ich nie kradnie! Nadrabiamy nasze „deficyty”?

Kościół w Oleśnicy pozostawiamy tym razem bez zwiedzania i schodzimy wąską uliczką do rynku, który tak jak w wielu innych tutejszych, położonych w górach, miasteczkach (choćby sąsiedni Lewin, także Duszniki-Zdrój, także Nowa Ruda i Radków) wytyczony jest jako plac na pochyłości. Na środku ładna figura ukrzyżowanego Chrystusa. Jest i ratusz. Ale naszym celem jest najpierw ruchoma szopka, którą pozostawił w Oleśnicy jeden z mieszkańców, utalentowany pan...

O historii można by dużo mówić, choć miasteczko malutkie. Kto chce – może zerknąć, a nawet poczytać (po czesku!) na stronę:

http://www.olesnice.net/e_download.php?file=data/editor/109cs_1.pdf&original=kronika.pdf

gdzie jest ponad 90-stronicowa kronika miejscowości. Przez kilka wieków (od roku 1615) przewija się tam nazwisko Colloredo Mansfeld (prawda, że ładne, ten pierwszy człon?) – arystokratycznej rodziny, która miała tutaj swoje dobra. Aż do 1945 r., gdy jeden z potomków rodu był jeszcze tutaj „majitelem zámku a k němu příslušných pozemků”, ale „jeho majetek přešel do vlastnictví státu – Československé republiky konfiskačními dekrety”. Ale tej republiki (Czechosłowacji) już nie ma, a Republika Czeska chyba zwróciła rodzinie Colloredo jakieś przynajmniej małe co nieco, bo będąc zimą na nartach w rejonie schroniska Čichalka (nad Oleśnicą) widziałem wywieszone na drzewie w lesie ogłoszenie o polowaniu w tamtejszych lasach: „Vstup do lesa zakazan! Lovecká akce. Dne 02.11. a 03.11.2017 od 7:00 hod do 17:00 hod”. I podpisane „Kristina Colloredo-Mansfeldová. Opočno”.

Najpierw zwiedzamy w rynku pomieszczenie, w którym zlokalizowano ruchomą szopkę. Brakowało tylko kolędy i zapachu świerkowej choinki. Szopka prezentowana jest na tle malowidła (fresk na ścianie), które udatnie przedstawia miasteczko, uchwycając jego autentyczne piękno: Oleśnica naprawdę ładnie wygląda, szczególnie gdy spojrzeć na nią stojąc nieco powyżej, na stokach podnoszących się w kierunku Orlicy (najwyższy szczyt w Górach Orlickich – 1084 m n.p.m.).



I ten fresk oddawał ten urok miasteczka, podczas gdy wyrzeźbione pracownice w drewnie postaci wędrowały przed nami, składając pokłon Jezuskowi. Święta Rodzina i nieco zwykłych

ludzi. Jak zawsze. Jako i dawniej, tak i teraz i na wieki wieków amen: kim byliby celebryci bez nas, zwykłych ludzi? Stanowimy lepsze tło niż „ścianka” do fotek.

Zatem artysta wyrzeźbił oprócz Boga i świętych także ludek, taki jak go w jego czasach jeszcze wtedy w Oleśnicy można było zobaczyć. Wszyscy bieżą niestrudzenie naprzód, dopóki włączony jest stary silniczek od pralki, napędzający ten korowód postaci. Można zajrzeć i za kulisy: szopka nie jest wielka i stoi się tuż przy niej, tak że wychylając się nieco, widzi się jak ten mechanizm pracuje. Czeska pani kustosz opowiada nam o twórcy, o jego rodzinie. A szopka wciąż się obraca. Są w niej też zwierzęta. Rozczula psisko, też ruchome: z merdającym ogonem!



Z pomieszczenia szopki przechodzimy wprost do pobliskiego budynku muzeum. To w zasadzie bardziej taka izba regionalna, w której zgromadzono zabytki; przedmioty tutejszej kultury materialnej. A mówiąc po prostu, są tu różne sprzęty domowe, gospodarskie, bo takie to było miasteczko, albo raczej wieś.

Idziemy sobie przez to minimuzeum, a właściwie lepszym określeniem byłaby na to nazwa jeszcze skromniejsza, np. izba regionalna – bo taki wymiar ma po prostu ten zbiór. Ale udało się to tutaj! Udało się te przedmioty uratować! Przed wyrzuceniem. Ocalić od zapomnienia. Choć to mała miejscowość, ale wygospodarowano jednak na ten cel odpowiednie miejsce. Zjawia mi się smutna refleksja, że nawet ciut większe miasteczka, z którymi ja jestem całe życie związany, niedalekie, niemal sąsiadujące, jak Duszniki-Zdrój i pobliska Szczytna, nie „wybiły się” tak wysoko, choć mają lub miały mieszkańców, którzy sami zbierali też tego rodzaju przedmioty, spisywali miejscową historię i wielokrotnie zgłaszali władzom samorządowym taki postulat, o chęci utworzenia lokalnego muzeum. Piszę o tych osobach, częściowo w czasie przeszłym („miały”), bo niektórzy już odeszli, jak np. zmarły w ub. roku pan Ryszard Grzelakowski z Dusznik-Zdroju, który przez wiele lat propagował słowem, mówionym i pisany, lokalną historię.

Wróćmy do Oleśnicy. Wokół pola, a pewnie bardziej pastwiska, bo też coś tu w górach, długo zasypanych śniegiem (Oleśnica leży na wysokości ok. 600 m n.p.m. i wyżej) mogło się udawać? Nie ma tu ziemi pszenno-buraczanej. To i szybko, jak tylko zaczął się czas turystyki, mniej więcej było to na przełomie XIX/XX wieku (wtedy do pobliskich miejscowości, np. do Lewina dotarły pociągi), zaczęto patrzeć w tym kierunku: w kierunku przyjezdnych, którzy wtedy takie górskie wioski „odkrywali”. A przywożone przez nich pieniądze były motorem rozwoju. Niektóre z tych miejsc rozwinęły się tak skutecznie, że zna je teraz cały świat (np. Davos, rozślawione przez „Czarodziejską Górę” Tomasza Manna),

albo przynajmniej cały kraj (jak cała Polska zna dawną podhalańską wioskę Zakopane, odkrytą przez Tytusa Chałubińskiego & Co.). Oleśnicę też w tym czasie odkryto, ale do dziś – w przeciwieństwie do tych sławnych, wymienionych miejscowości – pozostała ona mała i na uboczu.



I tak bywa... Są więc tu stare zdjęcia pierwszych pensjonatów, są narty drewniane (dziś wokół miasta jest kilka wyciągów narciarskich!). Ale najbardziej interesujące dla nas turystów, już bardziej miastowych niż wiejskich, były chyba te przedmioty z wiejskich chat: jakieś centryfugi do robienia masła, te krajalnice do kapusty i inne, już dziś zapoznane, rzeczy. Podobają mi się też solidne tradycyjne buty z cholewami, naprawdę ręczna robota, takie „kozaki” z grubej skóry. Kupiłbym od razu! Bo nam się wmawia, że ważne jest CCC (Cena Czyni Cuda). Nie tylko przy butach. A wtedy chodziło też o jakość! Nie „jakoś”.



Ale może to nie tylko współczesność temu winna. My Polacy przecież mamy chyba od wieków takie przysłowie: *Na koń się siędzie i jakoś to będzie!*. A Czesi spokojnie, pomału. Planują, realizują. Czasem się poddają. My na to w śmiech. Z nich... A oni, jak Szwejk: odczekają...

Rozmawialiśmy sobie trochę o Czechach w czasie tych wycieczkowych dyskusji, po drodze i na postojach, przy obiedzie. Gdy zeszła rozmowa na temat tego czeskiego pragmatyzmu, przypomniała mi się jakaś książka o słynnych czeskich postaciach. Była wśród nich postać tragiczna, choć nazwiskiem Hacha... W nocy z 14. na 15. marca 1939 roku w Kancelarii Rzeszy prezydent Czechosłowacji Emil Hacha i minister spraw zagranicznych František Chvalkovský zostali zmuszeni – m.in. pod groźbą zbombardowania Pragi – do podpisania dokumentu, który stwierdzał, że oddają los narodu i kraju czeskiego w ręce wodza Rzeszy Niemieckiej. Hitler zadeklarował, że bierze Czechy pod opiekę Niemiec i zapewni im autonomię. Hacha i Chvalkovský poinformowali rząd w Pradze o podjętej decyzji. Jej konsekwencją było wydanie zakazu stawiania oporu przez armię. Nad ranem 15. marca wojska niemieckie zaczęły zajmować Czechy i Morawy. Wkroczyły tego dnia do Pragi, gdzie witali ich niemieccy mieszkańcy miasta. Do Pragi przybył Hitler.

My, Polacy, walczyliśmy dzielnie. Nie było kalkulacji. Ale za to nasza stolica, Warszawa, w tym samym 1939 roku już bombardowana, w kilka lat później, w 1944 r., niemal zniknęła pod guzami...

Mijamy w czasie naszej wędrówki, już powyżej Oleśnicy, te słynne bunkry, które Czesi zawczasu przygotowywali tutaj jako część swojej linii obrony. Nigdy nie zostały użyte.

Po tej wycieczce w przeszłość, po zwiedzeniu muzeum, część grupy idzie na obiad do restauracji w rynku.

Dość długo czekamy na knedliki, gulasz, albo brambory (ziemniaki) i syyyr (jakoś to tak się dłuuuugo wymawia). Chciałbym się tego języka czeskiego nauczyć! Ale mam z nim kłopot. Chyba nie tylko ja? Chociaż są i pozytywne przykłady. Jasiu, podziwiam, swobodnie już sobie po czesku mówi. A byli i w naszej grupie inni, którzy chyba też sobie nieźle z czeskim radzili, jak to widziałem przy zamawianiu obiadowego menu. W restauracji Jasiu zwraca moją uwagę na rzadką mapę: pokazuje ona Niemcy, takie jak były w 1939 chyba roku. Czekalem na obiad, delektowałem się Kofolą (to taka czeska CocaCola, którą bardzo lubię). O właśnie: my mieliśmy PoloCoctę i co? Nic. A Czesi robią swoje dalej... Robią Kofolę, produkują Škody, nawet Semtex, co burzy wszystko na świecie (choć oni sami burzenia u siebie potrafili uniknąć). Nie zwróciłem więc należytej uwagi na tę mapę. Nie obejrzałem jej, spojrzałem tylko z daleka. A teraz się zastanawiam. Czyżby to nie aby jakaś tęsknota Niemców Sudeckich? Czy oni (Niemcy Sudeccy) jeszcze tu są?

Po obiedzie ruszamy w kierunku Čichalki. Idziemy boczną drogą, przyklejoną do stoku, mając miejscowość po prawej stronie. Od rynku do Čichalki, która jest schroniskiem tuż przy granicy z Polską, to parę kilometrów marszu, cały czas pod górę.



Patrzę sobie na trochę znane mi widoczki, ale od innej strony, bo tą drogą, po lewej stronie strumienia (patrząc w górę wzniesienia) jeszcze nigdy nie szedłem.



Ja jestem za to bardzo często na mojej trasie narciarskiej, która przebiega powyżej tego schroniska i idąc "poziomicami" okrąża masyw Orlicy. Najczęściej dochodzę do wzniesienia Polomský kopec (1050 m.n.p.m.), skąd potem zjeżdżam z powrotem do punktu wyjścia, czyli parkingu przy dawnym turystycznym przejściu granicznym, obok drogi prowadzącej od E-67 (przełęcz Polskie Wrota, albo jak kto woli Zielone-Ludowe) do Zieleńca. Ten parking jest kolejnym celem naszej wędrówki. Właściwie nie jest to parking, ale że zimą stoi tu zawsze trochę aut, tak to nazywam. Mamy tu dziś spojrzeć, czy coś się zmieniło, jeśli chodzi o oznakowanie granicy. Rezultat: ano nic! Wciąż nie ma tu żadnego znaku, który by mówił, że tu zaczyna się (lub – jak kto woli – kończy się Polska; choć „finis Poloniae” nie brzmi dla Polaka najlepiej, to należy przypomnieć, że to także tytuł, wartego obejrzenia, znanego symbolicznego autoportretu Jacka Malczewskiego).

Tak i Mistrz Malczewski zajmował się tematem istnienia i nieistnienia Polski – w takich czasach żył. Tamte pokolenia żyły sprawą niepodległości. My to istnienie, tę Polskę na mapie Europy, traktujemy już jako coś oczywistego. Parę lat temu napisałem do Starosty, a potem do Wojewody, wnioski, aby tego rodzaju przejścia graniczne oznakować, wskazując, że tu przekraczamy granicę Polski. Wniosek dotyczył przejść tzw. turystycznych – tych w lasach, polach itp., nie tych drogowych – bo te ostatnie mają własne oznakowanie znakami drogowymi, mówiące o przekraczaniu granicy i podające nazwy krajów. Te turystyczne przejścia nie mają natomiast nic: żadnych znaków. Tak jakbyśmy, my Polacy, nie chcieli powiedzieć, że to nasz kraj... Wniosek spotkał się z niezrozumieniem. Było to już po przystąpieniu Polski do układu z Schengen, już po tym radosnym (pokazywanym w mediach) usuwaniu znaków, tablic na granicach.

Ja też się ucieszyłem wtedy, że można już przejść granicę (z Unią) w każdym miejscu i skwapliwie w dzień później już to zrobiłem, właśnie w tej okolicy. Ale potem zaczęło mi brakować ładnej tablicy z dumnym napisem „Polska”. Zauważyłem też, że Czesi po swej stronie często te tablice, oznajmiające, że to Czechy, mają!

Straciłem jednak cierpliwość do tej urzędowej korespondencji. Starosta twierdził, że przejścia są przecież oznakowane – bo miał na myśli drogowe, tak jakby nie wczytał się w treść wniosku, który drogowych przejść przecież nie dotyczył – i było to tam napisane *expressis verbis*. Wojewoda z kolei wskazywał, jako odpowiedni organ, Komendanta Straży Granicznej – i tak „od Annasza do Kajfasza”. Ale sprawę kontynuuje Krystian, inny uczestnik naszych wspólnych z odkrywanie.bystrzyca.pl wędrówek. I właśnie on osiągnął sukces: Wojewoda poinformował, że w budżecie Straży Granicznej będą w 2018 r. środki na postulowane oznakowanie tych miejsc.

Stanęliśmy wszyscy na tej granicy i wywiązała się dyskusja: czy takie znaki są w ogóle potrzebne? Młodszy uczestnicy wycieczki nie widzą takiej potrzeby. „Jesteśmy w Europie”. „Nie ma granic”... Takie padały z ich strony argumenty. Choć historia akurat tej granicy pokazuje, że wiele się może zmienić. I ta granica podlegała bowiem przesunięciom: powstała w tym miejscu w XVIII w. po wojnach śląskich, gdy Ziemia Kłodzka została utracona przez Austrię i tutaj przesunięto granicę między Prusami a Monarchią Habsburską. Potem już była wciąż w tym samym miejscu, ale dzieliła różne państwa: po I wojnie światowej zniknęły Austro-Węgry, wcześniej Prusy zmieniły się w Niemcy i granica zaczęła dzielić Czechosłowację i Niemcy. Po II wojnie światowej dzieliła Czechosłowację i Polskę. I jeszcze jedna zmiana nastąpiła (nie licząc tego, że PRL zamieniła się w RP): podzielili się nasi południowi sąsiedzi i teraz granica jest tu już tylko z Czechami.

To miejsce, tuż przy granicy, w czasach niemieckich oznaczone było jako „Das schwarze Kreuz”, bo stał tu krzyż, lecz nie ostał się do naszych czasów. Jasiu pokazuje nawet dokładnie, w którym to było miejscu.

Historia pokazuje, że nic nie jest niezmiennie, nic nie jest dane raz na zawsze... Może więc warto jednak zaznaczać to, co nasze? A już bez wielkich „ojczyźnianych” argumentów: czy nie fajnie, aby turysta spojrzeć i zobaczyć, że jednak przekracza tu granicę państwa? Tak tylko informacyjnie...

My granicy praktycznie nie przekraczamy, bo idziemy teraz ścieżką prowadzącą pasem drogi granicznej w kierunku innego krzyża – ostańca z dawnych czasów. Czy to krzyż pokutny? Żadnych napisów, żadnych historycznych zapisów. Żadnych wiadomości, które byłyby nam znane (a są wśród nas i zawowodowi historycy i historycy-pasjonaci) o tym małym kamiennym krzyżu. To ostatni punkt naszej wycieczki (no, znów zrobiła się droga krzyżowa, na koniec...). Stąd już idziemy lekko, bo w dół. Do osady Zimne Wody, gdzie stoją nasze samochody. „Rymnęło się”, niechący.. (to już drugi wiersz w tym tekście).

Wciąż mamy słońce, choć w doliny zagląda już cień, bo – kończąc słowami z Pisma Świętego (te kapliczki i krzyże po drodze...) – „Dzień nachylił się już ku wieczorowi”.